Nr. 2. We Lwowie dnia 13. stycznia 1901. Rok 9.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Muzeum polskie w Paranie.

Kurytyba, w listopadzie 1900.

Istnieje w Kurytybie muzeum, stanowiące własność publiczną i utrzymywane przez stanowy rząd parański. Cywilizowany europejczyk z muzeum tego napewno nie wyjdzie olśniony ani jakością, ani ilością wystawionych okazów, chociaż wśród rozmaitych rupieci i fatałaszków, odnaleść tam można trochę rzeczy prawdziwie ciekawych i pouczających. Przy muzeum istnieje ogród zoologiczny w zarodku. Jako dyrektor, zarządza tem wszystkiem niejaki p. Mermelino de Leão, człowiek całą duszą oddany sprawom muzeum i wiecznie zajęty myślą o jego rozwoju.

Przez pewien czas „Muzeum Parańskie“ (historyczno-etnograficzno-przyrodnicze), było zamknięte z powodu dokonywanej restauracji. Odnowione zupełnie, obecnie zostało ono ponownie oddane dla użytku publiczności, która w czwartki i niedziele ma prawo odwiedzać je bezpłatnie. Dla zwabienia większych tłumów, grywa tam obecnie w każdą niedzielę orkiestra wojskowa, najlepsza, jaką posiada Kurytyba. To też rojno i gwarno wtedy w budynku muzealnym, o uszy obija się często mowa polska, bo wśród zwiedzających nie brak naszych rodaków z miasta i okolicy.

W kurytybskiej *Prawdzie* poruszyłem myśl utworzenia przy tym Muzeum działu polskiego, wyłącznie rzeczom polskim poświęconego. Niebawem porozumiałem się w tym względzie z dyrekcją muzealną, która projekt mój przyjęła bardzo przychylnie i ofiarowała do rozporządzenia jedną z najlepszych sal, jakie Muzeum posiada.

Poczciwy staruszek, pan Mermelino, był formalnie rozrzewniony i przyrzekł na przyszłość wysyłać stąd duplikaty rozmaitych okazów do muzeów polskich, choć dalibóg nie mam pojęcia, czem ma zamiar się dzielić.

Utworzenie działu polskiego przy Muzeum Parańskiem, (zorganizowanego mniej więcej na wzór prowincjonalnych muzeów popularnych we Francji), mieć będzie podwójne znaczenie. Z jednej strony, zebrane tam okazy będą w poglądowy sposób pouczały polskich wychodźców o ojczystej historji i kulturze, przenosząc stęsknione ich dusze do rodzinnego kraju, który opuścić musieli na zawsze. Dodatni wpływ mieć to może, zwłaszcza na krzewienie uczuć polskości wśród młodego, tu już zrodzonego pokolenia, które nie ma nawet tych wspomnień, jakie wywieźli z za morza ich rodzice, i o „starym kraju“ tylko z niejasnych opowiadań coś niecoś wiedzieć może.

Z drugiej strony, dział ów wyrobi większy szacunek dla nas wśród Brazyljan, których przekona, że nie jesteśmy, jak większość z nich mniema, narodem prostaków, lecz przeciwnie posiadamy własną bogatą cywilizację.

Dotychczas fala emigracyjna zanosiła tu wyłącznie wieśniaków lub wyrobników miejskich z małą domieszką rzemieślników. Inteligencji polskiej w Paranie, za wyjątkiem garści księży, nie było prawie wcale. Nic więc dziwnego, że wśród krajowców, na ogół, wyrobiło się wskutek tego przekonanie, że jesteśmy narodem chłopów.

Lubią oni naszych wychodźców za ich wielką pracowitość i zamiłowanie do rolnictwa: wszak wiedzą, że to praca polskiego kolonisty żywi miasta parańskie i stanowi podwalinę ekonomicznego rozwoju kraju. Ale ta sympatja połączona jest z pewnego rodzaju lekceważeniem i jakby poczuciem kulturalnej wyższości; wyraz „polaco“ jako pojęcie, do niedawna jeszcze wykluczał należenie do wyższej warstwy społecznej; w inteligentnym cudzoziemcu zawsze dopatrywano się Niemca, Francuza lub Anglika, Polaka jednak nie domyślano się nigdy. Obecnie, w miarę przypływu z Europy polskiej inteligencji, stosunek ten ulega widocznej zmianie, a otwarcie polskiej sekcji przy Muzeum Parańskiem będzie miało pod tym względem wpływ niepośledni.

Całe to przedsięwzięcie nie powinno napotkać wielkich trudności. Oddzielną salę w Muzeum

już mamy, a w razie potrzeby możemy mieć ich więcej. Największa więc przeszkoda została pokonana. Wierzymy zaś, że Rodacy w Europie i rozmaite instytucje polskie nie odmówią nam swej pomocy w zebraniu potrzebnych przedmiotów (jak: portretów wielkich Polaków, sztychów i obrazów z historji polskiej, starych medali i monet polskich, fotografij typów ludowych, widoczków miast i gmachów i t. d.), tembardziej, że nie chodzi tu przecież o przedmioty rzeczywiście większej wartości pod względem artystycznym lub historycznym, co samo przez się ogromnie ułatwia całe zadanie. Każdy przedmiot, każda bagatelka nawet, mówiąca o polskiej historji i „starym kraju“ będzie bardzo pożądana.

„Koło studentów Polaków“ w Antwerpji, pierwsze przyrzekło swą pomoc w zbieraniu tych rzeczy. Uczyniło to za pośrednictwem p. Z. Maciejowskiego, który sam obiecał ofiarować na ten cel swe zbiory prywatne. Dobry ten przykład nie pozostanie chyba bez naśladownictwa.

Wszystkie przedmioty należy wysyłać w mocnem, trwałem opakowaniu pod adresem: Museu Paranaense (para Secçao polaca), Curityba, Parana, Brasil. Wszelkie koszta cłowe i transportu opłaci tutejszy rząd stanowy, specjalny zaś komitet polski, jaki się tutaj zawiązał, zajmuje się urządzeniem w Muzeum sali polskiej i czuwać będzie nad konserwacją nadesłanych okazów.

J. Okołowicz.

PIERWSZE KROKI.

opowiadanie

K. Smreczyńskiej.

(Dokończenie).

Przeżegnawszy się krzyżem świętym, poszłam dalej. Pobliscc nie pytałam się nikogo o drogę, aże dopiero, gdy minęłam Rabkę, spotkałam człowieka nieznajomego. A ten mię zaraz zagadnął:

— He? Może do Sidziny idziecie?

— Idę, ale drogi nie wiem...

— Dyć prościuteńko idziecie. Sam was gościniec poprowadzi aż do Jordanowa. A tam się z ludźmi potkacie, to wam pokażą, bo już niedaleko.

Ucieszyłam się, że tak prosto idę. A skorom przyszła do Jordanowa, to już wszyscy zagadywali mię, rozumiejąc, widać, dokąd idę.

— Idźcie, kobieto, idźcie. Bo tam, doprawdy, warto iść...

Ale mi powiadali, że w ten dzień nie zajdę. Pomyślałam sobie: „Niech będzie! Nie zajdę dziś, to, jutro...“

I szłam coraz dalej. Wioska, którą-m szła, ciągła się doliną. Pełno krzaczyny i zarośla. I zaszłam ku samemu kościołowi, a nie widziałam go, bo drzewa zakryły mi przed oczyma wieżę. Sądziłam zrazu, żem przy jakim innym kościele, aże gdym się spytała: gdzie jestem, powiedzieli mi ludzie: w Sidzinie...

Miałam zaraz poszukać noclegu, ale myślę sobie; „Pójdę najpierw na cmentarz, podziękować Pana Bogu, żem tak szczęśliwie doszła“... Przechodzę furtkę, patrzę się — w oknach widno — w kościele się świeci. Zadziwiłam się, co tam o tej porze w kościele mogą robić. Może co naprawiają — myślę... Zbliżam się powoli ku drzwiom — drzwi podchylone. Wchodzę nieśmiało — ale jakież zdziwienie mię ogarnęło!...

Oto widzę w kościele gromadkę ludzi, a wśród nich księdza niedużego, o twarzy smagłej, zasuszonej, który ich naucza. Chodzi od jednego do drugiego i dźwięcznym, cichym głosem mówi rzeczy, z których nie wszystkie rozumiałam.

Nieśmiało podchodzę i klękam, aby oddać należny ukłon Bogu. W tej chwili on ksiądz przyszedł ku mnie, położył rękę na mojem ramieniu i pozdrowił prostem słowem: „Witajcież“! i zapytał się, skąd przychodzę.

A skorom powiedziała skąd, odrzekł:

— Toś pierwsza z tego klina...

I na razie o nic więcej już się mnie nie pytał.

Zwrócił się odemnie do ludzi zebranych w kościele i kończył rozpoczętą naukę. A mówił o różnych rodzajach grzechu. Jak zaś mówił, starczy na dowód jedna z przypowieści jego, którą przytoczę:

„Młóciło dwóch młocków. Jeden miał omłócić sto snopów, drugi również sto. Jeden omłócił dziewięćdziesiąt dziewięć, a jednego zapomniał omłócić, bo mu się między inne zaróżnił. Drugi omłócił także dziewięćdziesiąt dziewięć, a jeden umyślnie schował. Co ci dwaj młockowie mają robić?“

Abo:

„Jechał furman. Przyjechał ku wielkiej rzece, a woda wezbrała po ulewie. Na nieszczęście wjechał i nie zatrzymał wody i utopił się. Kany za to poszedł: do nieba, czy do piekła?“

Tym podobne zagadki rzucał słuchającym, aby ich umysł nagiąć do myślenia.

A gdy już było po północy, pomodlił się razem z nami i polecił znajomym swoim, aby mię ze sobą na nocleg zabrali, co ci uczynili chętnie jeszcze na wydziór. I dziwiłam się wielce rzadkiej gościnności miejscowych ludzi tamtejszych. Wszedłszy do ich domu, uczułam się tak swojo, jakbym już dawno z nimi żyła. Dowiedziałam się od nich, że proboszcz ich sprowadza ze świata przeróżne książki i pożycza nie ino swoim, ale i dalszym ludziom. Oni też mieli w domu kilka swoich książek, które zaraz po wieczerzy złożyli przedemną.

Przeglądałam je ciekawie i żal mię ogarnął, że w tak krótkim czasie nie mogę wszystkich przeczytać. A oni, widząc to pragnienie moje, przyobiecali mi niektóre do domu pożyczyć.

Na drugi dzień rano zerwałam się wcześnie i myślałam, że pierwsza zajdę do kościoła. Ale zastałam już księdza proboszcza i ludzi, którzy bliżej nocowali.

Nauka trwała w dalszym ciągu. Przyszła kolej i na mnie. Zapytał się mnie:

— Kto bliźni?

A gdy widział, że zwłóczę z odpowiedzią, zagadnął:

— Może słońce bliźni?

Odpowiedziałam, że nie,

Dalej zapytał:

— A żyd bliźni?

Odpowiedziałam, że nie.

Wtedy zapytał:

— Może owca bliźni?

Tu zastanowiłam się nieco dłużej i odpowiedziałam ze spokojem:

— Jak się trafi, to bliźni... jak ma czasem dwoje...

Na to ksiądz uśmiechnął się, potem żałośnie spojrzał na mnie. Odczułam to spojrzenie, litujące się nad mą biedną duszą — i żal mię objął całą, nie wiedzieć — do kogo...

Stałam cicho z daleka i, przysłuchując się dalszemu nauczaniu, miałam tę jedną pociechę, a zarazem i smutek, że nie ja jedna siedzę w tej ciémnocie, ale prawie że wszyscy, którzy z dalekich stron poprzychodzili. A byli tam ludzie: od Tarnowa, od Bochni, od Łącka i od Spiżu i z dalszych jeszcze, nieznanych mi okolic.

Proboszcz właśnie opowiadać począł, jakie pojęcia mają ludzie, nawet i bliscy od Tater. W opowiadaniu swem przytoczył, jako jeden parobczak przyszedł do spowiedzi... Przyszedł i stoi zdaleka, a trzęsie się — powiada — jak ta osina, potrząsana wiatrem... Ja go wołam:

— A chodź-że ku mnie, nie bój się. Dyć ci nic złego nie zrobię...

— E, jegomość! kie sie też bardzo boję...

— Nie bój się przecie, pójdź, widzisz że nie mam kija...

— E, jegomość! kie ja też bardzo zgrzeszył...

— E, dyć tembardziej! Nie masz się czego bać...

Parobczak chwilę medytował, wreszcie się przybliżył. Po zwykłym wstępie pytam się odrazu:

— Cóż to za straszny grzech?

— O mój jegomość! Takie sie mi nieszczęście przytrafiło: wziąłech czerpaczek, napiłech sie żentycy, a było to w piątek.

— No, to nic. A więcej co nie zrobiłeś? Możeś za freirkami latał?

— O jegomość! Jakiś tu cudny! A któżby mi onucki dał, albo koszulę na niedzielę uprał?

— Cóż dalej, możeś ukradł kany co? powiedz...

— E dyć, my zjedli trzynastu baranów, aleśmy przecie gazdzie dali znać, że wszyściuteńkie skapały.

— A nie upijasz się przy czasie?

— O jegomość! jakiś ty ciekawy! E, dyć u nas nic nie przeda, ani też nie kupi, jakby się święcie nie upił...

Przytaczał żywo i z humorem — jedną i drugą historję — a kiedy skończył, mgłą mu zaszły oczy i dziwna boleść odbiła się na twarzy jego...

— Jak w ciemności krzesać iskry, zapalać ogniska, kiedy dusze popiołami, jak ziemią, nakryte? Kiedy daremno szukać odróżnienia zła od dobrego... Wieki przejdą i żaden cel im nie zaświeci... Biedna ojczyzno!

Mówił smutnie, jakoby do siebie. Ale wielu słuchającym głęboko w pamięć wryły się te słowa jego, bo czuli, że to jest mowa serca.

I na mnie też wywarła ogromne wrażenie. Była bowiem w mej duszy jakaś nieznana, dziwna struna: Ilekroć ktoś napomknął w kazaniu lub w rozmowie o jednem słowie „ojczyzna“, lub imieniu jej „Polska“ — wówczas ta struna, potrącona, dziwnem echem zagrała, jak wiatr, gdy po konarach gra...

Zaczęłam się następnie zastanawiać, jaki związek tych ostatnich słów jego z poprzedniem nauczaniem.

Tak przeszło mi dni parę na pilnem wsłuchiwaniu się w nauki jego — i czułam, że wchodzę na pola nowe, dotąd mi nie znane — i coraz widniej w oczach się robiło.

Zabaczyłam na razie o chałupie, o wszystkiem. A później byłam już i na dużo przygotowana; choćby mię z domu wypędzili... niech ta! Już mię ciekawość nieznanego pojęła za sobą.

W niedzielę przypadł odpust, na który ostałam. Przybyło zewsząd wiele ludzi; wśród nich spotkałam ludzi z Kamienicy, niedalekiej wsi od nas, z którymi miałam wracać.

Z żalem opuszczałam Sidzinę, w tej nadziei, że nie długo tu będę. Szłam z książkami, jak z przyjaciółmi dobrymi. Były między niemi „Żywoty Świętych“ Skargi; w nich potem nieraz pokrzepiałam duszę swoją w częstych chwilach smutku i utrapienia.

* * *

W parę tygodni po powrocie doszła mię smutna wieść o nagłej śmierci księdza sidzińskiego*). Zginął — lecz dotąd żyje w pamięci ludzkiej i żyć będzie długo, — dopokąd wdzięczność nie zamrze u ludzi.

---

*) Ksiądz Wojciech Blaszyński, rodem z Chochołowa. Chłopcem uciekł od bydła na węgierską stronę; tam sługował, uczył się i wrócił księdzem do Polski. Z czasem został proboszczem w Sidzinie i tu nauczał lud ciemny. Przez nauczanie swoje stał się moralnym twórcą sławnej „rebelji chochołowskiej“. Fundował kościół w Chochołowie z kamienia tatrzańskiego. Przy rozbieraniu rusztowań spadła belka z góry i nieszczęśliwie uderzyła stojącego w głowę. Padł na miejscu. Lud na Podhalu czci go, jak świętego. Życiorys jego, dawno drukowany, można napotkać w niejednej chałupie. W kościele chochołowskim znajduje się popiersie kamienne i portret tej niezwykłej postaci (przyp wyd.).

Z teatrów wiedeńskich.

Wystawione w teatrach wiedeńskich ostatniemi czasy, niektóre nowości, są to po większej części powtórzenia sztuk, które miały powodzenie w Berlinie, albo przekłady z francuskiego. Dwie rzeczy, jednak przecież, godne są uwagi w dzisiejszem życiu teatralnem wiedeńskiem: naprzód w Burgteatrze wystawienie Orestei, następnie zaś wręcz odmienna stylowo-wiedeńska i ludowo-austrjacka sztuka pt. *Das Lied im Volke* (Theater an der Wien). Co do Orestei, to chcąc wystawić całą w jeden wieczór; reżyserja w niemożliwy sposób ją obcięła. Wyrzuciła całe niemal chóry, poskracała wszystkie przemówienia i monologi, pozostawiając to tylko, co było nieodzownie potrzebne do węzła tak zwanej intrygi. Jest to też ni mniej ni więcej tylko Eschylos à la Sardou. Pozatem reżyserja uczyniła wszystko, co tylko mogło uświetnić wystawienie sztuki. Architektura grecka, obyczaje, gesty — ze szczegółową ścisłością archeologiczną zostały tu wprowadzone. Przedmioty materjalne (ołtarze, grobowce, wozy tryumfalne) tak dokładne, jak na obrazach Siemiradzkiego. Ruchy postaci, zarówno pojedyńczych, jak i tłumów, przybrały pewien szlachetny a głęboki symbolizm; niekiedy na scenie panuje chwila grobowego milczenia, które bardziej wstrząsa i przeraża, niżeli najdłuższa mowa. Słowem—Eschylos okazuje się autorem tak *modern*, że mało który z nowszych pisarzy mu wyrówna. Przy całej swej prostocie marmurowej, posiada on wszystkie odcienie i środki, wstrząsające słuchaczy. Trzeba wyznać, że czasami w układzie zewnętrznym, Oresteja robi wrażenie baletu. Jest to — jak myślę — skutek zbyt wielkiej rozmaitości kolorów, niewłaściwej u Eschylosa. Uważałbym, że kolor biały — i jedynie biały — powinienby całą sztukę powlekać jakby tonem śnieżnomarmurowym.

Podobno w czasie obecnej wojny w Mukdenie, stolicy Mandżurji, znaleziono w jakimś starym klasztorze mongolskim zbiór obszerny rękopisów greckich i łacińskich, jeszcze w XIII w., wywiezionych z Europy przez najezdnicze gromady tatarów. Ma tam być wiele rzeczy nieznanych, dzieł pisarzy, zaginionych albo częściowo tylko wiadomych. Toż i Eschylos napisał koło 80 sztuk, a my znamy ledwie 7. O wielki Boże, racz sprawić, aby w tych pergaminach było kilka chociaż arcydzieł Eschylosa czy Sofoklesa, a w takim razie i wojna chińska okazałaby się nie bezużyteczną...

Ale przejdźmy od Eschylosa i Mandżurji do czysto wiedeńskiej sztuki: *Das Lied im Volke*. Autorem dzieła tego jest Richard Nordman, podobno pseudonim kobiety. Sztuka ta nie jest arcydziełem, posiada jednak pewien miły ton ludowy i *gemüth* niemiecki, przechodzący czasami już to w patos, już to w sentymentalizm. Jeżeli wspominam o tem przedstawieniu, to dlatego, że zasadnicza myśl tu jest doskonała i że wartoby było, aby u nas jaki poeta władający tonem ludowym, podobną swojską rzecz ogłosił. *Das Lied im Volke* — to historja pieśni ludowej w rożnych okresach dziejowych. Początek odbywa się w niebie; jest to niebo ludowe, niebo kolędowe: gromada aniołków zachowuje się, jak dzieci, Petrus z kluczami chodzi po tym świecie, jak stary gwardjan, wreszcie jest tam dziewica *Doritis*, służebnica niebieska, w kostjumie wieśniaczki dolno-austrjackiej, ze szczotką w ręku. Doritis jest smutna, bo wie, że ludzie są smutni i chce im nieść pociechę. Błaga więc Cherubów, aby jej pozwolili zejść na ziemię. Schodzi też z nieba — i odtąd błądzi między ludźmi, jako — pieśń i natchnienie. Sztuka dzieli się dalej na 6 części: 1) Dawid pasterz gra na lirze — Doritis mu poddaje natchnienie — Dawid muzyką swoją leczy Saula z szaleństwa; 2) Nero chce grać na lirze — i wzywa potem różnych śpiewaków: greccy fleciści, harfjarz germański, a wreszcie chrześcijanie, idący z pieśnią na męczeństwo (jest to jakby scena z *Quo vadis?*): 3) Klasztor — Walter von Wogelweide — trubadury — pieśń romantyczna – wędrowni śpiewacy — Doritis czuwa nad nimi; tuż i pieśń kościelna średniowieczna; 4) Wojna — scena wyobraża niby obóz Walensztajna; odpoczynek, żołnierze piją wino i całują dziewczyny; Doritis się zjawia — w ich szaleństwo jakiś podniosły ton wprowadza; słychać pobudkę bojową, biją bębny, trąby grają, dzwoni ochocza pieśń wojenna. 5) Scena z życia Szuberta. Artysta w nędzy nie ma nawet za co kupić sobie nut. Jest nauczycielem w bakalarni. Dzieci w ławkach hałasują, a on im o Mozarcie opowiada. Poczem sam pozostaje i nagle tajemniczo zjawia się Doritis i podaje mu bukiet niezapominajek... Z tego bukietu rodzi się *Staendchen*. Jest to akt pełen humoru i rzewności, na przemiany zabawny i patetyczny. 6) Scena ostatnia, niestety trywialna, przedstawia zabawę w lasku pod Wiedeniem; gromady burszów, kupczyków, dziewcząt — śpiewają i tańczą walce Strausa, Millöckera a Doritis między niemi błądzi i sypie róże. Muzykę bardzo dźwięczną, w stylu wiedeńskim — napisał Adam Müller *junior*, korzystając przytem zresztą z różnych autorów muzycznych. Dodać trzeba, że wraz z Doritis zestąpił na ziemię Laetitio, niby chochlik niebieski, duch wesołości, żartu i śmiechu. Rzecz cała nader miła i zajmująca. Czy nie mógłby też kto u nas przedstawić na scenie *Quo Vadis* — i Cesarza Maurycego z gęślarzami słowiańskimi i Boga Rodzicę i królewskich lutnistów (obacz Syrokomlę) — i legiony z mazurkiem Dąbrowskiego — i Szopena i wiele innych motywów, malujących dzieje pieśni, jej czar i potęgę, jej narodziny i rozlewanie się w tłumach? — Zdaje mi się, że temat wdzięczny dla poetów.

Z. Kw.

Irena Jawicówna.

Z udręczeń.

. . . nie jest-że wasza dusza ubóstwem i brudem i zadowoleniem godnem litości?

(Nietsche.)

Po dwugodzinnej włóczędze za miastem, podczas której głód nietylko nie zmalał, ale przeciwnie, wzmógł się i chwilami wprost szarpał wnętrzności, wracał Jan Brodzki z tajnym głuchym wstrętem do pracowni, w której mieszkał. — Wiedział, że niema tam ani kawałeczka chleba, ani nic — postanowił jednak, że już się nie ruszy z domu: zmęczony był, i zresztą niema po co.

— Niech będzie co chce. Niech mnie potem tak znajdą — myślał, nie zagłębiając się zresztą w dokładne znaczenie słów „potem" i „tak", zacinając się tylko z jakąś tępą złością. Lecz jednocześnie zdejmował go żal wielki nad sobą, głównie dlatego, że był sam zupełnie, i że tak „podle" zdychać ma z głodu... jak pies. — Jak pies — powtarzał przez zaciśnięte zęby, przechodząc przez ciemną długą sień i wstępując wolno na kręte wschody oficyny. I przy wymawianiu tych dwóch wyrazów, za każdym razem łzy zbierały mu się w kątach oczu — więc, żeby nie pozwolić tym „idjotycznym" łzom spłynąć po twarzy, przełykał je z wysiłkiem, zacinając przy tem wargi i ściskając mocno pięście. Na drugiem piętrze przystanął. Drzwi od kuchni były na oścież otwarte, i widać było, jak przy gotującym się obiedzie krzątała się kucharka. Z twarzą rozpaloną od żaru kuchennego i z lekka lśniącą potem, z łokciami zakasanemi, stała nachylona nad patelnią, od której szedł skwierk i zapach smażącego się mięsa. Jan stał, nie mając sił ruszyć się i wzrok oderwać od syczącego befsztyka i od całej tej atmosfery kuchennej, przesyconej zapachem gotowanego jadła. Ale w tej chwili otwarły się drzwi od pokoju, i weszła przez nie pani domu, która też zaraz podejrzliwem okiem zmierzyła stojącego w sieni mężczyznę. Jan, leniwie powlókł się dalej. Przyszedłszy do siebie, rzucił się natychmiast na wąskie żelazne łóżko, kurczące się w rogu pokoju, ze stanowczym zamiarem uśnięcia. Lecz napróżno wtulał głowę w poduszkę, napróżno leżał nieruchomo z przymkniętemi powiekami — sen nie przychodził, a powieki się same podnosiły...

Szeroko rozwartemi, błyszczącemi oczyma patrzył teraz przed siebie i naraz spostrzegł z przerażeniem, że długie nogi sztalug, odsuniętych nieco od ściany, unoszą się w górę, kreśląc elipsę w powietrzu, a za niemi inne przedmioty i pokój cały zaczyna z niesłychaną szybkością wirować...

Jan chwyta się z jękiem za głowę i obu dłońmi przyciska mocno skronie... Po chwili oddycha głęboko.

Sztalugi i wszystko stoi w porządku na podłodze.

Tylko jemu samemu głowa cięży ogromnie.

Tak jakby wielka kamienna bryła, niewidzialnemi gwoździami do tylnej powierzchni głowy przybita, obciągała ją w dół...

Z trudnością dźwiga obolałe skronie z poduszki, i jak po wielkiej pracy fizycznej, z sił wyczerpany, siedzi chwilę na łóżku. Potem przechodzi do stołu i siada, wspierając brodę na rękach. Znieczulające jakieś, ciche znękanie, rozchodzi mu się po kościach, po mięśniach i ogarnia zwolna całe ciało...

... Z odrętwienia budzi go lekkie pukanie. Jan odwraca głowę w kierunku drzwi i z pewnym trudem — jak przez mgłę — poznaje przybyłego.

— Aha, to Antek... Po co on tu? — przesuwa się w mózgu leniwe pytanie. — A zresztą wszystko jedno...

— Ach, jak tu duszno — mówi Antek, idąc wprost od drzwi do okna i rozwierając je na oścież.

Jan oddycha pełną piersią. Rzeczywiście, że było duszno... A jemu jakoś na myśl nie przyszło...

— Cóż to wy — powiada Antek, sadowiąc się na oknie — wyglądacie jak Piotrowin... Co wam jest?

— Nic nie jest — mruczy Jan niechętnie.

... Z rosnącą irytacją wsłuchuje się w dźwięki słów, płynące teraz z ust Antka — jak wody obcego jakiegoś potoku, nużące słuch swym jednostajnym szmerem.

— Wiecie, Falicki dostał medal za swoją „Psyche"... ale nic szczególnego... byłem teraz... — wpadają mu w uszy poszczególne wyrazy i zdania...

— I poco on? poco to wszystko — myśli Jan z tępym bólem w skroniach. A jednocześnie wzbiera w nim gdzieś w głębi fala niecierpliwości... Dusza cała przelewa się w jedno pytanie, co jak cienka, ostra igła wpija mu się w mózg...

— Żeby dał — żeby tylko dał — nęka go ciche wewnętrzne wątpienie.

Nagle podniósł głowę.

— Słuchajcie, Antek — przerwał mu niespodzianie — nie moglibyście wy mi poż... pożyczyć trochę monety — co?

Głos mu się zatrząsł, i oddech w piersi zaparło, gdy patrzył na Antka, który śmiejąc się, wysypywał z kieszeni jej zawartość.

— Cztery, pięć... siedem szóstek. Jedyne siedem szóstek, i to aż do pierwszego. Nie wiem, czy stary da się jeszcze naciągnąć. Ostatnie siedem szóstek...

Jan uczuł, że fala owa z głębi, wezbrała w nim jeszcze wyżej i dławi teraz gardło, a mięśnie twarzy kurczą się, jakby miał za chwilę roześmiać się albo zapłakać.

— Nie, to nic... — bełkotał, czując na sobie wzrok Antka. — Ja tylko tak... ale nic. — Jak nie możecie, to nie..

— I czegoż wy u licha oczy tak wytrzeszczacie? — rzucił się z nagłą nienawiścią niemal w głosie.

Antek wstał naraz i wziął kapelusz.

— Poczekajcie... ja natychmiast — zawołał, wybiegając.

Jan pozostał na miejscu nieruchomy. Wargi mu drżały nerwowo, a z oczu stoczyły się, długo powstrzymywane, dwie grube łzy...

Po chwili Antek wrócił zadyszany, z dużą paczką pod pachą.

— Wyobraźcie sobie — mówił już od progu. — Taki traf... Właśnie idąc tu, miałem wstąpić na obiad, i zapomniałem... Naturalnie jestem głodny, wściekle głodny... Będziemy teraz razem, dobrze?...

Jan milczał pochmurny. Napróżno usiłował jeść powoli i z umiarkowaniem. Jak to bywa u ludzi bardzo wygłodzonych, ręka pomimo jego woli, szybko i drżąc jakoś podnosiła się do ust z mięsem, i mimowoli też przełykał duże naraz kęsy. Mając oczy przykute do stołu, doznawał przytem nieznośnego wrażenia, że Antek ciągle go obserwuje...

Nagle szorstko odsunął bułki i papier z wędliną.

— Co, już? — przerwał sobie Antek w pół jakiegoś zdania. — Nie smakuje wam może? Mnie się zdaje, że dobre...

— Nie chcę już, dosyć — odmruknął i wstawszy, zaczął chodzić po pokoju.

Nieokreślony wstyd nurtował mu w duszy, — tembardziej przykry i bolesny, że powstał z rzeczy nieuchwytnych i błahych. Powoli uczucie to przechodziło w rozdrażnienie. Nozdrza mu zaczęły drgać, a na wargach przewijał się zły uśmiech.

Szukał w myśli przedmiotu, o który by mógł zaczepić.

— Wy mówicie — zwrócił się do Antka, choć ten nie mówił teraz nic, — wy mówicie — Falicki, co Falicki?... Falicki jest idjota, jołop skończony. Nie mówiąc już o tem, że pojęcia nie ma o perspektywie, toż on twarze — żywe ludzkie twarze — maluje jak maski pośmiertne... Falicki jest szewc, i szewcem zostanie do końca swego żywota, choćby dziesięć Psyche namalował i tysiąc medali dostał. A pomimo to, będzie malował i puste ściany salonów sztuki wypełniał. Dlaczego nie? *Białka* mu nie zabraknie, — a w tem grunt... O!... Uważacie? białko jest paliwem dla mózgu, a mózg — to maszyna. I nic więcej... A wolność ducha, potęga ducha... nędzne frazesy, jakiemi poeci okłamują siebie i innych — halucynacja więźnia, zamkniętego w ciemnym lochu piwnicznym... A właściwie i to nie. Kłamstwo wszystko podłe, i nic więcej! Kłamstwo i obłuda! — krzyczał, unosząc się, z jakiemś rozwścieczeniem w głosie.

A potem ścichł.

— Wiecznie to samo — zaczął, jakby sam do siebie, nie patrząc na Antka. — Kajdaniarze wieczni. Próżno rwać się i szarpać i wspinać na szczyty — pokaleczy się tylko i dalej pełza, i wlecze za sobą łańcuchy... Ten nieustanny ohydny pobrzęk łańcuchów... Począwszy od najordynarniejszych, brutalnie ludziom przez ludzi narzuconych, których sam widok jest hańbą i bolem, większym częstokroć od fizycznego aż do tych subtelnych — co djabelną jakąś siecią oplątały nerwy i zwoje mózgowe, i brzęczą i jak muchy skrzydełkami o szyby zamkniętego okna bijące, tak biją o ścianę mózgu... Aż do bólu... do szaleństwa!

Urwał i ukrył twarz w dłonie.

Antek, który już od chwili z niepokojem patrzył na niego, zbliżył się teraz i położył mu dłoń na ramieniu.

— Ej, stary — przemówił miękko — położylibyście się najlepiej. Z oczu wam bije gorączka i wogóle wyglądacie podle. Chorzy musicie być...

Jan zatrzymał na nim tępe, przeciągłe spojrzenie.

Nagle uśmiechnął się — krótko, mimowoli jakoś...

— Chory, mówicie? Phi... może być... Chociaż —wiecie—to chyba nie to. Ja wiem co jest... To zwierzę, z którem dotąd walki staczałem nieustanne, powaliło *mnie* teraz. I *ja* nic już nie mogę więcej... Ten płaz nikczemny, duszę mi moją pożera nieśmiertelną. A mój mózg — królewski twórczy mózg człowieka — ginie, korzy się przed robakiem... I tylko z jakiejś szczeliny serca — niegdyś czystej i świętej — wyrasta wstręt, jak grzyb trujący... I nienawiść... Wstręt i nienawiść. Ot, choroba moja...

Ten sam nie potrzebny, wymuszony uśmiech, zawisł mu znów w kątach ust. Wzrok błąkając się, upadł na stół, i nagle czoło mu się namarszczyło, jak od fizycznego bólu.

— A wiecie — rzekł wstając — ja *taki* położę się. Łeb mnie czegoś boli.

Położył się i przymknął powieki. Lecz przez niedomknięte rzęsy obserwował Antka, który stał chwilę z kapeluszem w ręku, wahając się, — a potem podszedł i chyląc się niezgrabnie, mocno pocałował go w czoło. Jan nie poruszył się. Lecz gdy drzwi za wychodzącym się zamknęły, uniósł się na ramionach, nadsłuchując, a gdy ścichł zupełnie odgłos kroków na schodach, porwał się z łóżka, podszedł do stołu i stojąc, jeść zaczął szybko, łapczywie.

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy).

Jakie trudności pokonywać trzeba było, albo jakie pokonać trzeba będzie jeszcze, wykażą uwagi i dane następujące:

Most na Jrtyszu, w pobliżu miasta Omska ma 640 M. długości. Most na Obi, za miastem Kaińskiem, w pobliżu wsi Krywoszczoki, na 1,328 wiorście koleji, ma długości 763 M. Rzekę Jeniesiej, przekracza kolej na 2,049 wiorście, po moście, mającym 845 M. długości. Na wiorście 2.260-tej, most na rzece „Kani“, pod miastem „Kańskiem“, wynosi 437 M. długości. Długość wszystkich mostów i wiaduktów, licząc tylko od Jeniesieja do Irkucka mierzyć ma 82.000 M.

Budowa koleji dokoła południowego końca Bajkału, jest jednem z najtrudniejszych zadań techniki inżynierskiej, mamy tu bowiem prawie nieprzezwyciężone przeszkody do zwalczania: tak 20 pierwszych wiorst tor koleji biedz musi po dolinie rzeki Irkutu, zwykle zatapianej przy każdym wylewie, a wtedy rwąca woda wzdłuż doliny staje się podobna do potoku górskiego, unoszącego wszystko przed sobą. Na 26 wiorście od miasta, przechodzi owa kolej po bardzo długim moście, wymagającym niezmiernie silnej budowy z uwagi na to, że rzeka wzbiera olbrzymio podczas deszczów i niosąc starodrzewa, bije niemi, jak taranem, o każdą przeszkodę. Przed siłą takich uderzeń, nawet skały ochronić nie są zdolne. Od wiorsty 30-tej za miastem, ma się do zwalczenia wąwozy górskie skaliste, strome i głębokie i na wiorście 58-ej, ma być wybity tunel długości 68 M., drugi tunel, ale daleko dłuższy, bo mierzący 3,820 M., projektowany jest w dalszym ciągu tej drogi, zanim jeszcze kolej przejdzie na dolinę Kultusznej. Tutaj znowu piętrzą się przeszkody rozmaite, szczególniej przy ujściu rzeczki Ilczy, skały tam bowiem są pionowe i zmuszają do robienia nasypów, wynoszących 30 M. wysokości i do podpierania ich murowaniem cementowem. Wzdłuż brzegu jeziora samego, tor kolejowy przecinać musi w wielu miejscach odnogi górskie, dochodzące do samego wybrzeża Bajkału. Zabezpieczenie nasypów kolejowych, od fali niespokojnej jeziora i od naporu lodów wiosennych, przebijanie toru wśród skał niezmiernie twardych, krystalicznych, wycinanie lasów, budowa mostów przez niezwykle wartkie rzeki jak Utulik, Muryn, Śnieżna, Wydrenna, Pierejomna, Miszycha, etc., a i przez liczne bardzo potoki, wogóle wszystko razem wzięte, wymaga ogromnej pracy i znacznego nakładu kapitału, a także i długiego czasu na robotę. Zanim więc ta część wielkiej kolei syberyjskiej będzie gotową, postanowiono urządzić tymczasową kolej dojazdową do Bajkału, przekraczającą Irkut i biegącą wzdłuż doliny Angary, do samego jeziora; tam miano urządzić niezmiernie kosztowną przystań, u ujścia rzeczki Barańczuk, a następnie przewozić zamierzano całe pociągi na umyślnie w tym celu zbudowanych statkach wzdłuż linij w poprzek jeziora idącej, aż do drugiej przystani w Myssowej, nie mniej kosztownie zbudowanej jak pierwsza. Statki transportowe, kolosalnego rozmiaru i szalonego pomysłu, mają jeszcze zadanie dodatkowe, mianowicie miały one zimą łamać lód na Bajkale i w ten sposób utrzymywać ciągłą, wodną komunikację pomiędzy wybrzeżami jeziora, nawet wtedy, gdy grubość lodu wynosi przeszło 1 m., co ma miejsce w drugiej połowie zimy.

Ażeby dać pojęcie, jakiemi to statkami miała się taka praca uskutecznić, dosyć będzie wymienić kilka szczegółów. Statek rzeczony nosi nazwę „Ledokoła“, długość jego wynosi 290 stóp, szerokość 57 st., objętość 4.200 ton, siła maszyny równa się 3750 jednościom miary siły. „Ledokoł“ opatrzony jest 3-ma śrubami, chyżość ma wszakże niewielką, bo tylko 13 węzłów, czyli, że przebiega około 13 wiorst na godzinę. Projektowano stawić na jego pokładzie cały pociąg kolejowy, składający się z 25 wagonów naładowanych, ażeby go w ten sposób spiesznie przewozie przez jezioro, i to tak dobrze zimą, jak i latem, łamiąc i druzgocąc przytem po przed sobą, w porze zimowej lód na Bajkale; taką podwójną czynność miał wykonywać „Ledokoł“ w czasie zimy, a więc poczynając od Listopada do Maja. Opatrzony pancerzem stalowym, grubym na jeden cal a szerokim na 9 stóp, mając nadto kształty parostatku Nansen'a, sławnego w historji nautyki i w historji podróży podbiegunowych — „Fram'a“, — stanowił „Ledokoł bajkalski“ cud prawdziwy pomysłowości technicznej. Budowę tego kolosu uskuteczniono w Anglji, tam też rozebrany został na części, z których wiele dochodziło ciężarem swoim do 1200 pudów, czyli do 48 tysięcy funtów wagi, następnie przewożony był specjalnym pociągiem koleji syberyjskiej, aż do ostatnich 1000 wiorst, gdzie już wieziono go końmi i wołami, po prymitywnych drogach, a do tego po mostach i przewozach syberyjskich. O kosztach budowy i przewozu, a także o wydatkach składania go na miejscu, gdzie budować musiano wielce kosztowną przystań, milczą relacje, podnosząc tylko tę okoliczność, że sam pomysł, wykonanie i przewóz, przechodzą wielkością czynu nawet i sławną wyprawę „Olega“.

Pomimo ogromnych nadziei, jakie pokładano na statku transportowym, w czasie jego budowy, zawiodły one na nieszczęście, nawet i najskromniejsze oczekiwania, bo dzisiaj, z pewnem zdziwieniem czytamy w nowszych sprawozdaniach, opowieść taką:

„Inżynierowie postąpili bardzo roztropnie, zarzucając plan pierwotny, przeprowadzania po-

ciągów komunikacji bezpośredniej przez Bajkał, na okrętach transportowych, przytem, zimą miały być zastosowane statki do łamania lodu i utrzymywania wolnej drogi przejazdowej. Prawda, że droga przez to jezioro, o powierzchni 34.180 klm. jest niedługa, ale wobec straszliwych orkanów, zrywających się na tym obszarze wód i trwających do trzech dni, staje się wprost niemożliwą. Niema najmniejszej wątpliwości, że podczas burzy okręt narażony jest na porwanie na pełne wody i zatopienie w tem, zarówno pięknem jak i zdradliwem jeziorze. Nawet parostatki, kursujące pomiędzy Listwienniczną i Bojarską stacją, nie są w stanie przybić do jednego z tych brzegów, kiedy wody są mocno wzburzone. Wprawdzie linja kolejowa, okalająca południowy koniec Bajkału, zamiast projektowanej przeprawy przez jezioro, kosztować będzie miljony r. s., ale co znaczy ten koszt, wobec osiągnięcia zupełnego bezpieczeństwa przejazdu“.

Z cytowanej dopiero co relacji widzimy, że się tak stało, jak przewidywali ci, co znali dokładniej warunki miejscowe i przepowiadali, że statki transportowe nie na wiele się przydadzą, bo do Bajkału nie można stosować miary, poznanej gdzie indziej. Ogromne wydatki, łożone na okręty transportowe i Lodołamy, nie będą pokryte dochodami kolejowymi, ale co jest gorszem jeszcze w tym wypadku, to ta okoliczność, że zanim droga obwodowa zbudowaną zostanie, Bajkał stanowić będzie, jak stanowił i dotąd, zaporę główną w komunikacji, na wielkim szlaku kolei syberyjskiej. (C. d. n.)

Z pism i książek.

Sewer: Legenda. — Kto ona? — Euthanasia. — Warszawa 1901.

Można mieć poważny szacunek dla Sewera za jego „Naftę“ — wreszcie za ludowe powieści. Jest w nich wiele życia — zewnętrznego wprawdzie, ale ruchliwego — rzuconego z jakby weselnym rozmachem krakowiaka, i dużo barw i słońca. Z czasem ten rozmach i pełna temperamentu żywość przemieniła się w stałą manierę jakiegoś roztęsknionego entuzjazmu, gorączkowego, niespokojnego, w którym zaginęła odrębna indywidualność przedstawianych osób, a wystąpił szablon. Ofiarą tego są i powyższe trzy nowele. Osoby Sewera bywają obecnie zwykle nastrojone na ten sam ton liryczno-rozentuzjazmowany, który przestał już być ich tonem, a stał się manierą autora. Wszystkie jego postacie — czy to Zośia z „Legendy“, czy żona galicyjskiego dyplomaty, która pokochała artystę-malarza (Kto ona?), czy wreszcie ta para trawiona śmiertelną chorobą i na śmierć skazana, która zatapia się w przedśmiertnem upojeniu miłości („Euthanasia“) — wszyscy oni są prawie jednakowi i wszyscy mają ten sam sposób mówienia, sangwinistyczny, urywkowy — tak bardzo przypominający osoby z „Bajecznie kolorowej“ i tylu innych utworów Sewera. „Legenda“ zawiera ciekawy przedmiot w opowieści o dziewczynie, która uciekła od świata wysubtelnionej kultury artystów i poetów, ze sfery gorączkowych upojeń i wzlotów wyobraźni, (Orzeszkowa rzekłaby: „od pasztetu“) i poszła jako nauczycielka między lud, by znaleść inne życie, oparte na bezpośredniej świeżości natury i na czynie. Są tu interesujące listy krakowskich przyjaciół, nie pozbawione aktualności i aluzji osobistych. Te ostatnie, Sewer mógł pozostawić innym, choćby p. Bałuckiemu, pamiętając, że sam jest pisarzem na to za poważnym. W tem zetknięciu duszy ludzkiej z dwiema tak sprzecznemi formami życia tkwi materjał, z którego sporo rzeczy można było wydobyć, przy odrobinie większej dbałości artystycznej. *T. Sob.*

(Wacław Żmudzki: „Niedola“, zbiór nowel. Nakładem Tow. Wydawniczego; Lwów 1900.)

Autor zbiorku wymienionego w tytule, dał się już poznać korzystnie z większej pracy beletrystycznej p. t. „Bór“, która od razu wyrobiła mu poczestne miejsce pomiędzy naszymi powieściopisarzami. Jak w tamtej powieści, tak i w tym cyklu nowel, ukazuje on się nam jako pisarz, któremu nietyle chodzi o indywidualne przejścia psychologiczne wprowadzonych osób, ile o to, żeby za ich pomocą przedstawić, jak się w ich życiu duchowem wyraża, wpływ społecznego podłoża, na którem wzrośli. Podłoże to ma w „Niedoli“ charakter wysoce patrjotyczny, ile że chodzi tu o przedstawienie stosunków, wytworzonych przez prześladowanie narodowości polskiej pod zaborem rosyjskim. Oczywiście, że nie należy tego rozumieć tak, jakoby bohaterowie p. Żmudzkiego byli tylko jakimiś bezcielesnymi instrumentami do wydzwaniania. się jego patrjotyczno-społecznych zapatrywań. Tylko w „Znaku krwi“ przemawia autor wprost ze stanowiska osobistego, kreśląc z dużym rozmachem, w formie sennego marzenia, fantastyczny obraz krwawej niedoli ujarzmionego narodu.

Po tej przegrywce, wprowadzającej czytelnika od razu w ogólny ton całego cyklu, następują już same obrazy, wypadki i ludzie, którzy mają, wspólne wszystkim wzajem, krwawe piętno niedoli społecznej i narodowej, ale nie pozbawione są przytem cech indywidualnych. Boleje pod tym naciskiem, lub buntuje się przeciwko niemu i ten i ów z bohaterów „Niedoli,“ ale po za tem, innym jest i Michał z noweli „Na cmentarzu“ i Walek z „Pan Bóg przebaczył“ i Antek z „Niebogi“ i Jacek Kozik i Hanka z „Sianokosu“. Pan Żmudzki umie wżywać się w każde z nich i przeżywać za nie ich stany duchowe, stosownie do psychologicznego ich założenia. Poza tem, wspólną jest tym wszystkim nowelom także do pewnego stopnia i metoda literackiego obrobienia. Cechuje ją bowiem po pierwsze, wynikający już z treści ponury pesymizm, nieubłagany realizm w kreśleniu wypadków a przytem skupianie się w opowiadaniu, kategoryczność w wyrazach. Dzięki temu, język jego pomimo plastyki i bogactwa barw, robi wrażenie *sui generis* lapidarnej powściągliwości, jak gdyby autor niechętnie i tylko pod naciskiem narodowej niedoli wychodził ze swojego zamknięcia się w sobie. *(sw.)*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.